NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 123·50 Marek, Półrocznie 247·— Mk. Rocznie 494·— Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 2 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 2·80, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy 4 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 10 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 96 (dom własny). Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz. Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 10 Marek.

Rok XVII. Kraków, 25 grudnia 1920. Nr 52.

W dzień Bożego Narodzenia...



Szopka betleemska wedle motywów ludowych kompozycyi artysty malarza Ż. Wierciaka.

Polska Wilja.

W oczekiwaniu Nowego Roku i rozstrzygającej wiosny żyjemy pod znakiem przyjaźni i braterstwa francusko-polskiego... W przededniu Wilji, która jest naszem Świętem narodowem nad Święta – bo zespala ludzi dobrej woli religijnie, narodowo i rodzinnie, niechże jeden przykład więcej przekona nas, jak brata-Francuza pociągają nasze obyczaje i tradycye – nasze skarby, których rdza ni mól nie psuje... Śmiałym był gest Lucyana Roquigny, gdy Narodowi, posiadającemu „Pana Tadeusza", ofiarował długi francuski poemat, opisowy: „O Polsce". Wprawdzie nie miał Matki Polki, jak Chopin, ale dzieciństwo spędził w naszym kraju, a duchowo wychowywały go rozbitki 63-go r. Cóż dziwnego, że zrozumiał polską duszę i opisał naszą Wilję tak, jak odczuwał ją każdy, choć jej wyrazić nie mógł, czy nie próbował? Chyba każdy z nas powiedziałby autorowi: *oui – c'est cela...*" Wzruszenie, drgające w tym fragmencie, to bezpośrednie stwierdzenie związku między duszą francuską a polską na tle wspólnej kultury zachodniej, kończącej się tam, gdzie się kończy łacina.

Otrząśnieni nareszcie i wyzwoleni z wszelkich schizm i herezyi etycznych, socyalnych i ekonomicznych, pełnym lotem wylatujemy do słońca wiecznego postępu, jasno i wysoko świecącego nad Francyą.

Dość już mamy kraju „białych nocy", lub krótkich dni, znaczonych tylko krwawą pożogą szybko po sobie następujących brzasków i zmroków w popiele nędzy i jałowej szarzyzny!

Te ożywcze soki, które Zachód znaleźć może w Słowiańszczyźnie, teraz, da Bóg, czerpać będzie w Polsce i przez Polskę...

A czemże bardziej ujmiemy Francuzów, jak zwierzeniem im tajemnicy, która była źródłem naszego twórczego, nietylko opornego patryotyzmu i płodności naszych rodzin?

Tłómaczył: FRANCISZEK XAW. PUSŁOWSKI.

Polska Wilja.

O Polska Wiljo przedziwnej słodyczy,
Gdy w bratnich milczeń ciszy tajemniczej
bez szeptu słowa i bez drgnienia powiek,
łączą się dusze, lgnie do swoich człowiek,
w Dobroci w Prawdzie... Z rodzicami dzieci
czekają gwiazdy, aż pierwsza zaświeci.
Na cześć Dzieciątka co obrało stajnię,
garść siana kładą pod obrus zwyczajnie,
i przed wieczerzą tradycyjną, Matka
spełnia obrządek łamania opłatka...
I cały Naród w tej nocy, w tej chwili
czyniąc jak Ojce odwiecznie czynili,
wznawia znak Boski ręki Zbawiciela...
O, niechaj wola się zawsze zestrzela
rokrocznie taką wzmacniana komunią,
nierozerwalną niech nam będzie Unją!
Jako w noc Wilji na milczącym śniegu
wioski zacieśniać się zdają w szeregu
i nagle zachwyt niepojęty sprawia,
że chata z chatą, dwór z dworem rozmawia
o tem, co drzemie w tajnych skarbcach gminu,
tak wy złączycie się wreszcie do czynu,
i jak mąż jeden powstanie was mnóstwo,
by odbudować Praojców domostwo!



Szopka betleemska wedle motywów ludowych, kompozycyi artysty malarza Z. Wierciaka.



Szopka betleemska wedle sztychów z rozmaitych okresów.

Fr. Turek.

Szopkarze.

Prawie grudzień, adwent cały
Wrze robota w izbie małej,
Gdzie przy szopie cni murarze
Wznoszą dumnych wież po parze.

Aż pod izby stragarz sięga,
Smukłych wieżyc las srebrzysty
Tej zabawki zmysł, potęga,
Fantazyi rzeczywistej.

Maryackie jakby wieże,
Zygmuntowska, czy Ratusza,
Serce śmieje się i dusza,
Do budowli tych w papierze.

Rusztowania z kijków wiążą,
Z kartoników kleją ściany,
I stajenkę wznoszą Bożą,
Dla Dzieciny ukochanej.

Wycinają okna, ganki;
Kolorowe lecą skrawki,
Jakieś baszty, mury, blanki
Dla uciechy, dla zabawki.

Połyskują nożyc ostrze
Wśród tęczowych tych arkuszy,
Gdzie się wachlarz barw rozpostrze
Archanielskich pióropuszy.

Tutaj teatr — w górze szopa,
Mędrcy, króle, juczne słonie,
Pełno owiec, pełno chłopa,
I kometa, co zapłonie.

Betleemska gwiazda złota,
papierowa, purpurowa,
Korba na kształt kołowrota
Kiedy kolend zabrzmią słowa.

Będzie praca już gotowa —
Jeszcze przyjdą chorągiewki.
Wielka tarcza zegarowa,
By liczyła kolęd śpiewki.

I stanęła szopa wraża,
Jeszcze ubrać pięknie lalki:
Krakowianki i góralki,
Chłopa, żyda i paskarza.

Spieszcie, spieszcie się murarze,
Dla uciechy, dla zabawki,
Dać tym lalkom godne twarze —
Godnie ubrać te pijawki.

Niech się bawi mała dziatwa,
Będą klaskać małe rączki,
Trud niewielki, praca łatwa,
A posypią się tysiączki.

Szopka zawiązkiem naszej sceny.

Żaden naród na świecie nie obchodzi z takim pietyzmem pamiątki Narodzenia Zbawiciela, jak polski. Dzień ten stał się świętem nietylko kościelnem, ale i rodzinnem, równającem wszelkie stany i łączącem je w Stajence i w żłóbku, w którym „Jezus malusieńki leży nagusieńki“...

Od niepamiętnych czasów, jak daleko sięgają kronikarskie wspomnienia, Boże Narodzenie święcili Polacy urządzaniem pewnego rodzaju przedstawień narodowej i ludowej, a na dobytek ten składały się całe wieki.

Misteryum Bożego Narodzenia przedstawiano zatem z odpowiednią wystawą i należycie uscenizowane na dworze króla jegomości, w zamkach i pałacach magnatów, w dworkach szlachty i domach mieszczańskich także w chatach, słomą krytych, które od drugiego dnia Świąt począwszy, odwiedzają „kolendnicy“.

Z biegiem czasu i postępem kultury zmieniła się wystawa i inscenizacya, zasadnicza treść pozostała do dnia dzisiejszego niezmieniona.

Zwłaszcza żacy krakowscy zdobyli sobie sławę w urządzaniu owych „dyalogów“, bardzo pokrewnych formą i treścią tym, jakie rozbrzmiewały po wsiach, z ust kolendników, odwiedzających chaty i dwory z „osiołkiem“ „turoniem“, „gwiazdą“ itd.

W czasach, gdy Polska teatru nie posiadała, i dziś w okolicach, gdzie go niema, są to jedyne widowiska sceniczne, tem godniejsze pochwały i poparcia, iż ściśle narodowe.

Z czasem wytworzyły się z tych „dyalogów“ artystycznie już opracowane „jasełka“ (np. ks. Łabaja, Szleckiego itd.), ukoronowaniem ich jest natomiast „Betleem polskie“ Rydla.

Kraków posiadał ponadto swoje słynne „szopki“, których szereg widziało się co wieczór wzdłuż linii A—B. Tradycye ich sięgają wieki wstecz, a urządzaniem i produkcyami oratorskiemi i wokalnemi zajmowali się domorośli artyści ze Zwierzyńca lub Krowodrzy, z zawodu murarze, skazani więc w zimie na przymusowe bezrobocie.

Nawet biedna rodzina nie mogła się obejść bez tego, aby choć raz w okresie kolend nie zobaczyć szopki, nie nacieszyć się widokiem króla Heroda, Krakowiaka, górala, ułana polskiego, żydka Ajchmüllera i niezbędnego dziadka z torbą.

Był to poprostu ludowy prymitywny kabaret, to też znalazł niebawem naśladowców, którzy ją zmodernizowali i przystosowali do obecnych wymogów. Z tej szopki z Rynku wzięła początek „Szopka krakowska“, przedstawiana początkowo w „Jamie Michalikowej“ i inne jej mniej lub więcej udałe naśladownictwa.

Jak w różnych epokach przedstawiano w Polsce betleemską Stajenkę, świadczą zamieszczone w niniejszym numerze ryciny, wykonane według starych sztychów, jak wyglądałaby zaś szopka w ludowej Polsce, w roku 1920 — o tem można nabrać pojęcia z odpowiedniej illustracyi. Jest naturalnie św. Józef, jest Matka Boża i Dzieciątko, z pyzatych twarzy aniołków można przecież wyczytać, że im na imię Kuba, Maciek i Wojtek... Brak jedynie pasterzy, gdyż oni dziś są zajęci polityką.

Uroczystość zamknięcie „V. wojennego Kursu oficerów gospodarczych przy Intendanturze O. Gen. Kraków“.

Dnia 12 b. m. odbyło się uroczyste zamknięcie „V. wojennego Kursu oficerów gospodarczych przy Intendanturze O. Gen. Kraków“.

Pierwszy to naprawdę fachowy Kurs tego rodzaju w Polsce.

W dziele odrodzenia się ekonomicznego kraju, gospodarka wojskowa niepoślednią gra rolę. Z prawdziwą radością więc przywitać należy zastęp świeżych, nie zepsutych i do pracy gospodarczej należycie przygotowanych sił.

Przez cztery miesiące studyowała młodzież teoretycznie i praktycznie wszystkie działy gospodarki wojskowej pod wielce światłem kierownictwem p. Szefa Intendantury, jenerała-intendanta Herfortha i niezmordowanie z nim współdziałających oficerów-nauczycieli.

Młodzi wychowankowie rozjechali się po wszystkich dzielnicach Polski, uwożąc ze sobą prócz praktycznych i teoretycznych wiadomości, po raz pierwszy w system naukowy ułożone podręczniki, jak: „O wyżywieniu wojska“ majora gosp. Hlibowickiego, „O należytościach pieniężnych“ porucznika gosp. Roni-Sadkowskiego, „O kontroli rachunkowej“ kapitana gosp. Szubargi, „O kasowości i rachunkowości w wojsku p.“ kapitana gosp. Udzieli i inne.



Uroczystość zamknięcia „V. wojennego Kursu oficerów gospodarczych przy Intendanturze O. Gen. Kraków“: Kierownictwo i absolwenci Kursu.

Prace wyszczególnione świadczą o ogromnej wiedzy fachowej ich autorów, jakoteż o niestrudzonej pracy i poświęceniu niemal, jakich trzeba było obok długoletnich doświadczeń, by z luźnych rozporządzeń i rozkazów złożyć tak wartościowe podręczniki.

Wielką atrakcyę stanowią również pierwsi dwaj oficerowie gospodarczy kobiety, które podczas trwania kursu w niczem nie ustąpiły swym kolegom. Są nimi podchorąży gospodarczy Halina Brzozowska i Dorota Małachowska z Ochotniczej Legii Kobiet w Krakowie.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA

MARYA TOCZYSKA

23

I.

Chwiejąc się, nie znalazłszy ani płaszcza, ani kapelusza, Markus Henner z głową dumnie wzniesioną wyszedł pod groźbą rozszalałych oczu dziewczyny.

– Przyjdziesz jeszcze czołgać się u nóg moich – rzekł, stojąc we drzwiach.

– Nie! Prędzej umrę.

– Przyjdziesz! A'e wtedy nie będę miał litości dla ciebie.

– Nie! Nie! Precz! Precz!

– Ja się zemszczę Rachelo – rzucił jeszcze ze schodów Markus głosem pełnym groźby.

Rachela przez chwilę nadsłuchiwała jego oddalających się kroków. I raz jeszcze głos Markusa zabrzmiał ostry, przenikliwy w ciszy nocnej.

– Rachelo! Rachelo!

Gwałtownym ruchem otworzyła drzwi, wychodząc na balkon i nachyliła się. Noc była ciemna, głęboka. Mała uliczka Pianto pusta zupełnie. Garbus wzniósł w górę wstrętną swoją twarz ku delikatnej twarzy dziewczyny i zawołał drwiąco.

– Wiem, gdzie jest twoja matka, Rachelo, ale nie dowiesz się o tem nigdy odemnie!

I oddalił się tak szybko, że w jednej chwili znikł z oczu zdumionej dziewczyny. Chciała wychylić się przez poręcz balkonu, zawołać, lecz osłabła tak, że zatoczyła się silnie i padła na wznak zemdlona.

– – – – – – – – – – – – –

Była godzina piąta rano. Rachela Kabib powstała z łóżka, ubrała się powoli, zdjęła ze ściany portret matki, poczem owinęła się w ciemny, szeroki płaszcz. Przy płaszczu był kaptur, który młoda dziewczyna opuściła, starannie zakrywając nim większą część twarzy. Na dworze było jeszcze ciemno. Długą chwilę stała bez ruchu na środku pokoju, rozglądając się wokoło, tak, jakgdyby zapomniała rzeczy jakiej. Miała tylko przy sobie małą skrzynkę starożytną, hermetycznie zamkniętą. Odchodząc stąd na zawsze, pozostawiła pokój swój w wzorowym porządku, wszystkie rzeczy i książki starannie poukładane w szafie i na biurku. A jednakże Rachela stała nieruchoma, rozglądając się wokoło, a w oczach jej przebijał żal coraz żywszy! Bo przecież pomimo wszystko, pamiętała, że tu, w tym skromnym pokoju przez la lat tyle i przyzwyczaiła się już tak bardzo do tych sprzętów i ścian! Tutaj to, spędzała długie godziny na rozmyślaniu, modlitwie i płaczu. Tutaj to rozwinęła się w sposób tak szczególny dusza jej w cichej atmosferze samotności i prostoty. Rachela zadrżała na te wspomnienia, ale nagle otrząsnęła się, energicznym ruchem głowę w tył odrzuciła i skierowała się ku drzwiom.

Zeszła po schodach, tonących w ciemności, tak ostrożnie, że kroki jej nie czyniły żadnego szelestu. Znając dobrze rozkład domu, przesuwała się cicho jak sen, nie potrąciwszy o sprzęt żaden. Kiedy znalazła się w pokoju, znajdującym się na pierwszem piętrze, gdzie przed paroma godzinami miała miejsce ogromna scena między nią a Markusem Hennerem – zatrzymała się znowu i po chwili skierowała się dyskretnie do kuchni, za którą w maleńkim pokoiku spała stara służąca.

Weszła tam ostrożnie i zawołała szeptem:

– Różo! Różo!

– Jestem, panienko – odpowiedziała stara, budząc się nagle i zeskakując z łóżka.

– Cicho! proszę cię Różo – szepnęła Rachela, pochylając się nad nią.

– Co się panience stało? Czy znowu niedobrze się zrobiło?

– Nie, jestem zdrowa.

– A więc cóż się stało? – wyrzekła służąca, podnosząc mimowoli głos.

– Mów cicho, błagam cię. Gdyby nas ojciec usłyszał, jesteśmy zgubieni. Czy chcesz mi być posłuszną we wszystkiem, Różo?

– Czego żądasz odemnie gołąbko. Wiesz, że jestem ci oddana do śmierci!

– Ubierz się, nie czyniąc żadnego hałasu i chodź ze mną.

Róża zaczęła się ubierać, Rachela czekała w ciemności cierpliwie, nadsłuchując tylko, czy kto nie nadchodzi.

– Co mamy uczynić? – zapytała stara służąca, kiedy już była gotową.

– Pójdziemy stąd.

– Teraz?

– Tak.

– A kiedy wrócimy?

– Nie wrócimy tu już nigdy!

– Panienko – szepnęła stara z wahaniem.



Wiem, gdzie jest twoja matka, Rachelo, ale nie dowiesz się o tem nigdy odemnie.

– Teraz, lub nigdy – odparła Rachela cicho, lecz głosem stanowczym.

– Noc taka ciemna...

– Świt wkrótce nadejdzie... weź chustkę Różo, pospiesz się.

– Panienko, my jesteśmy same!

– Czy się boisz?

– Nie... ale.. wahała się jeszcze, owijając chustkę koło głowy i ramion.

– Jeżeli się lękasz, pójdę sama...

– Na miłość boską nie czyń tego gołąbko... Gdzież mamy się udać?

– Do Lambertini'ego.

– O tej godzinie?

– Tak. On mi powiedział, że oczekiwać mnie będzie zawsze.

– Tak, to prawda.

– Wiesz przecież gdzie mieszka?

– Wiem.

– A więc chodźmy.

– Ale czy nam tam otworzą.

– Będziemy dotąd pukać, aż nam otworzą.

– Oh! Boże! Boże! – zajęczał głos starej w ciemności.

– Różo, czy ty mnie sama nie popchnęłaś do tego kroku?

– Tak, tak.

– Czy mi nie mówiłaś, że u Lambertini'ego znajdę nareszcie i spokój.

– Tak, gołąbko.

– A czy nie wiesz, że zamieram tu z dniem każdym? – szepnęła Rachela głosem wzruszonym.

– Ale dlaczego dziś? dlaczego tej nocy?

– Bo jutro już spotkać się mogę z zemstą najokropniejszą. Może ojciec zamknie mnie na zawsze w domu, może zawiezie mnie do Rzymu, a może wyda mnie w ręce tego człowieka. Oh! Różo, Różo, Różo, jutro może być za późno.

– Masz słuszność gołąbko – odparła służąca, biorąc Rachelę za rękę.

– Posłuchaj mnie Różo – mówiła młoda dziewczyna, wychodząc z pokoiku – musimy przejść przez kuchnię i salonik nie mówiąc, nie czyniąc żadnego szelestu. Bramę można otworzyć bez chałasu, nieprawdaż?

– Tak, ale przy zamknięciu zgrzytać będzie.

– To ją zostawimy otworzoną.

– Niech Bóg nas ma w swojej opiece – westchnęła Róża, żegnając się nabożnie.

Ruszyły naprzód, przesuwając się jak cienie po całym domu, nadsłuchując uważnie w stronę pokoju, w którym spoczywał Mojżesz Kabib.

Doszły szczęśliwie aż do drzwi głównych. W ciemności jednak Róża długą chwilę nie mogła znaleść klódki. Znalazła ją wreszcie, lecz drzwi przy poruszeniu zgrzytnęły przeraźliwie.

– Boże! Boże! – jęknęła Rachela.

– On może nie usłyszał – pocieszała ją stara służąca.

Wyjrzały na ulicę. Ciemna była i zupełnie pusta.

– Odwagi Różo, odwagi! – szepnęła Rachela, chwytając jej rękę.

– Nie obejrzały się nawet na dom, w którym spoczywał Mojżesz Kabib, spokojny, że córka jego po przebytych wrażeniach pogrążona jest w śnie głębokim.

– Co powie na to twój ojciec – zapytała Róża, spiesząc obok Racheli.

– On chciał mnie oddać „temu człowiekowi“ – odparła niechętnie młoda dziewczyna.

Latarnie uliczne były już wszystkie pogaszone. Róża drżała, przytulając się do Racheli.

– Panienko, a jeżeli napotkamy złodziei?

– Nie mamy pieniędzy, Różo?

– Złych ludzi?

– Bóg nam pomoże.

– Mogą nas także policyanci zatrzymać!

– Powiemy im, że idziemy na mszę ranną do Ara Coeli?

– To prawda.

Przyspieszyły kroku. Ranieri Lambertini mieszkał w własnym domu na ulicy San Niccla przy placu Barberini, daleko od żydowskiego Ghetta. Uliczki tu były wąskie i ponure. Róża biegła naprzód, pociągając za sobą swoją młodą panią.

W pewnej chwili, w pomieszaniu swojem i wzruszeniu, zdawało im się, że zbłądziły i rzeczywiście przebiegły parę ulic, nieznanych im zupełnie, a ciemność była tak głęboka, że nie mogły przeczytać nazw wybitych na marmurowych płytkach.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała Róża, ściskając ją silnie za rękę.

– Niewiem panienko, niewiem, rozeznać się nie mogę.

Nagle, człowiek jakiś o wysokiej postawie przeszedł szybko obok nich pogwizdując wesoło.

– Spytajmy się go – szepnęła Róża, przyspieszając jeszcze kroku – może on nas objaśni.

– Oh! nie! nie! na miłość Boską – odparła Rachela, dygocąc z przerażenia.

Równocześnie inny człowiek jakiś przesunął się obok nich, niosąc długi kij na ramieniu. Był to zapalacz lamp gazowych, schodzący z nocnej służby.

(Ciąg dalszy nastąpi).

M. STAWISZ.

GORĄCZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

26

I.

A wczoraj jak na złość w Kasynie końskiem karta mu dyabelnie nie szła. Kiedy po północy wychodził z kasyna, nowy dług obciążał jego zachwianą bardzo hipotekę.

Cóż teraz miał robić? Ostatnią deską ratunku było szybkie dobranie się do tysięcy papy Gawlika, ale zanim to nastąpić mogło, trzeba było jeszcze żyć czas jakiś o własnym koszcie, a co najgorsze, dalej posyłać bukiety i cukry przyszłej żonie swojej i zdobyć skąd większą sumę na pokrycie kosztów przedślubnych i urządzenie mieszkania.

— A tom się urządził do wszystkich dyabłów — zaklął hrabia Gucio, ziewając szeroko. — Liczyłem na matkę, a tu masz!

W tej chwili zadzwoniono donośnie w przedpokoju.

Hrabia Gucio skrzywił się niechętnie.

— Żeby tylko nie do mnie jaki wierzyciel — syknął przez zęby.

Zapukano do drzwi i do pokoju weszła pensyonatowa pokojowa, oznajmiając lekceważąco:

— jakiś tam człowiek przyszedł do pana hrabiego. Czy mam go wpuścić?

— Człow

Czego chce?

— To, ja, Franciszek — zabrzmiał w dźwiach głos starego służącego Gawlików. — Mam dla pana hrabiego list od panny Kazi.

— A chodźże, stary, chodź — ucieszył się hrabia Gucio. — W samą porę przychodzisz. Może mi co poradzisz.

— A cóż tam znowu jaśnie pana tak martwi — zapytał Franciszek, podchodząc do łóżka. — Powinien się pan hrabia cieszyć — uśmiechnął się porozumiewawczo. — Od pięknej panny liścik przynoszę.

— A co mi tam po jej listach — żachnął się hrabia Gucio, wyciągając niechętnie rękę po kopertę. — Pewnie się jej znowu do teatru pójść zachciało, a ja koroną nie śmierdzę.

— A to z jaśnie panem naprawdę tak źle?

— A co ty myślisz. — Żeniłbym się z Gawlikówną, jakby miał interesa w porządku. A co? nie mówiłem? O bilety pisze. Bodaj ją! Wybrała się w porę.

— Jabym na miejscu pana hrabiego zaraz sobie poradził — odezwał się po chwili namysłu Franciszek.

— Ciekawy jestem jak?

— Wziąłbym od starego Gawlika coś naprzód na posag. Nigdybym tego jasnemu panu nie radził, gdyby chodziło o pannę z lepszej rodziny — dodał z godnością, ale z takimi! — machnął lekceważąco ręką. — Chcą mieć zięcia z wysokiego rodu, to niech się sami, jak się patrzy o to postarają. Przecież i tak posag dać muszą nie wszystko jedno dać im część przed ślubem czy po ślubie?

— Franciszku — zaśmiał się udobruchany hrabia Gucio, — złote twoje słowa. Niema rady innej, tylko zajrzeć do szkatuły papy Gawlika. Ale czy on się na to zgodzi? co?

— Co niema się zgodzić. Za hrabiego Zdzisia to przed ślubem ten stary fabrykant wszystkie długi popłacił, mieszkanie urządził i jeszcze mu parę garniturów sprawił! Nie pamięta to jaśnie pan? Trzeba tylko powiedzieć, że taki jest zwyczaj u państwa i już.

— Więc myślisz, że da?

— Coby nie miał dać. Jemu na tem małżeństwie więcej zależy teraz, jak na własnem życiu. Żeby też jasny pan wiedział, co się tam wczoraj działo. Istne komedye.

— Co takiego? co takiego? — zainteresował się hrabia, poprawiając się wygodniej na poduszkach.

— Ano, wpadł do nich z awanturą ten kuzyn Gawlikowej, monter.

— Kuzyn Gawlikowej? monter? co ty gadasz? To ja o jej koligacyi pierwszy raz słyszę. W ładną rodzinę wchodzę, niema co mówić. Wujek monter będzie mnie klepał po ramieniu i po imieniu mówić.

— Ej, jaśnie panie — odparł poważnie Franciszek, a w jego małych wgłębionych oczach błysnął pogardliwy wyraz — może ten monter więcej wart niż niejeden, co się ma za wielkiego. Uczciwe jakieś chłopisko i nie bez rozumu, a nie pcha się w górę jak te Gawliki, tylko szanuje swoją pracę, a na fanaberye tych swoich krewnych ani patrzeć nie chce...

— Więc o cóż poszła ta awantura? Czegóż chciał od nich?

— On przyszedł prosić za tą drugą panną, Stasią, bo ponoś Gawliki chcą ją wepchać temu Markiewiczowi, synowi kupca, a ona, że to się od dziecinnych lat pokumała z innym, porządnym chłopakiem, co jest teraz za subjekta



— Gwałtu! nie wytrzymam! — jęknął rozpaczliwie hrabia Gucio, łapiąc się za głowę. — Monter, sklepiczarka, subjekt ze sklepu! Ładne towarzystwo!

w jakimś handlu, to i nie chce, do tego wujka poszła się poskarżyć i stąd cała awantura.

— Gwałtu! nie wytrzymam! — jęknął rozpaczliwie hrabia Gucio, łapiąc się za głowę. — Monter, sklepiczarka, subjekt ze sklepu! Ładne towarzystwo! I to wszystko będzie ze mną za pan brat, jak świnia z pastuchem! A! do dyabła ciężkiego! Cóżby na to moi antenaci powiedzieli!

— Jaśnie panie — upominał poufale stary Franciszek, który patrzył na ten nagły wybuch dawnego swojego pana z lekkiem lekceważeniem, ale z odcieniem pewnego współczucia — nie czas teraz o swoich przodkach mówić. — Musi się jaśnie pan żenić, czy nie?

— Muszę! muszę! na moje nieszczęście muszę! — westchnął ciężko hrabia Gucio. — Ah! gdybym ja nie musiał! Długów po uszy, wierzyciele napastują.

— Trzyma ich tylko nadzieja ożenienia się pana hrabiego czy nie tak? Gdyby się to małżeństwo rozwiało, pan hrabia może mieć wielkie nieprzyjemności.

— Co mi gadasz! Jak gdybym sam nie wiedział, że to ostatnia moja deska ratunku — mruknął z niezadowoleniem hrabia Gucio.

— To też nie czas jaśnie panie na rozmyślania — nalegał dalej — Franciszek, tylko trzeba się ostro zabierać do rzeczy. Gawlikowie aż się trzęsą, ażeby pana hrabiego mieć za zięcia. Słyszałem przecież wczoraj, co gadali do tego kuzyna.

— No co? co? Chwalili się przed nim?

— Możeby nie! A on ich porządnie wyśmiewał Na mój rozum jaśnie panie, pora najlepsza teraz. On coś tam gadał, że niedługo ich świeżego państwa, że znowu stać się mogą żebrakami jak przedtem...

— Bój się Boga stary, — zaniepokoił się hrabia Gucio, podrywając się na łóżku, — a może tam nie jest z tym posagiem, jak myślimy. Tobym się ubrał dopiero!

— Eh! nie! — uspokajał go służący — tak źle nie jest, słyszę przecież i widzę wszystko. Pieniądze mają, niema co gadać, ale jaśnie panu wiadomo, jak to z takimi wojennymi interesami. Dziś idą, a jutro wszystko w łeb bierze. Dlatego też mówię, żeby się teraz do nich zabrać porządnie. Niech wyłożą coś z posagu, to jaśnie pan zaspokoi co najpotrzebniejsze i do ślubu gotować się trzeba, bo a nuż zbanczą, jak się tak zwlekać będzie, to co pan hrabia potem zrobi? Z Gawlikówną bez pieniędzy przecież się żenić nie będzie!

Ah! Boże mnie uchowaj — wzdrygnął się hrabia Gucio. — Dobrze się stało, żeś tu dzisiaj przyszedł. — Dziś jeszcze pomówię z Gawlikiem.

— Niech jaśnie pan lepiej zaraz się zbierze i pójdzie, bo on w nocy do Warszawy ma jechać — radził jeszcze stary. — Może tam długo jeszcze posiedzieć, a jaśnie panu pieniędzy zaraz potrzeba. W porze obiadowej zastanie go pan hrabia w domu.

— Doskonale! doskonale! Sam Bóg cię do mnie dziś sprowadził. Wracaj teraz do domu i powiedz pannie Kazi, że sam się z nią rozmówię co do tych biletów. Właśnie mi teraz w głowie są, jak gdybym nie miał o czem innem myśleć. Jak będziesz wychodził, powiedz też tam tej pokojowej, żeby mi prędko śniadanie podała. Doczekać się nigdy tej szelmy nie mogę...

— — — — — — — — — — —

W dwie godziny później hrabia Gucio rozpromieniony, uśmiechnięty, wychodził z mieszkania Gawlików. Rozmowa z przyszłym teściem, której się trochę obawiał, poszła jak najlepiej. Gawlik w przekonaniu, że tym sposobem hrabia Gucio nie wymknie mu się już; chętnie zgodził się na zaawansowanie mu stu tysięcy koron, jako zaliczkę na posag obiecany.

Prosto z ulicy Wolskiej, hrabia Gucio, elastycznym, młodzieńczym, krokiem, z głową dumnie do góry wzniesioną, udał się do Sukiennic do cukierni Noworolskiego. Tu, ku wielkiemu zdziwieniu bufetowego, nie tylko, że zapłacił zaległy już od kilku miesięcy rachunek, ale kazał sobie podać butelkę szampana, rzecz niebywała u niego, bo dotąd czekał zawsze na łaskawość którego ze spotkanych znajomych.

IX.

Pospieszny, nocny pociąg unosił Gawlika do Warszawy. Wygodnie rozłożony w „sleepingu“, Gawlik marzył o wspaniałych interesach, jakie go tam czekają. Namówiony przez dwóch przybyłych z Warszawy agentów, z którymi zapoznał się przez pośrednictwo Rudzkiego, jechał teraz po większy zakup sacharyny, w którą obfitować miały sekretne składy żydowskie na Nalewkach, a który z ogromnym zyskiem miał rzucić na rynek zbytu w Krakowie.

Gawlik czuł się bardzo zadowolony z tej niespodziewanej podróży. Rad był, że znowu większa jakaś suma wpłynie do jego kasy, a przytem cieszył się bardzo z poznania Warszawy, której dotąd nie znał wcale i projektował sobie, że zdala od bystrego i surowego wzroku żony, będzie mógł się nareszcie porządnie zabawić, do czego od pewnego czasu niemało go ciągnęło. (C. d n.)

Gabryel hr. Pruszyński.

Dwie wigilie.

Chociaż wszyscy odradzali wyjazd pod noc, kazałem zaprządz i wyjechałem. Miałem przed sobą wiorst 40 i pomknąłem szybkim kłusem. Droga, jak zwykle na Polesiu, równa, dość szeroka. Po obu stronach biegła nieprzerwana ściana leśna, okryta liścią, niby białą oponą.

Cisza wprowadziła mię w zadumę; wspomniałem, że dziś właśnie, kiedy samotny powracam do pustego domu, świat cały się raduje, obchodząc Wigilię Bożego Narodzenia...

Niespodziewane pomknięcie wprzód łoszęcia przerwało moje ma zenia. Obejrzałem się. Cóż widzę! w oddaleniu może pół wiorsty kilka par gorejących ślepi!

Zrozumiałem: to wilki, zwietrzywszy, pędziły za mną. Położenie okropne! sam jeden w głuchym lesie o ratunku marzyć niemogłem. Boże miłościwy! czyż mam być pożarty przez te dzikie bestye?

Strzelać nie mogłem, zmuszony chwycić się sanek, żeby z nich nie wypaść, ani utrzymać klacz, która poczuwszy wilki, unosić poczęła. Łoszę pomknęło co sił, za nim klacz i zaczęła się ucieczka, w któ rej moje małe sanki, niby łupina orzecha, w szalonym pędzie to w tę, to w ową stronę zataczane, każdej chwili groziły wywrotem.

Nie widziałem wilków, ale czułem je za sobą. Przyszło mi na myśl zrzucić moją torbę, żeby choć na kilka chwil powstrzymać pogoń. Musiały się na nią rzucić, ale rozwścieczone małym pożytkiem, tem zacieciej mię doganiały.

Zacząłem krzyczeć, łudząc się, że może ludzka istota usłyszy me wołanie, lecz coraz bliższe charczenie wilcze było jedyną odpowiedzią. Rozejrzałem się: miałem jeszcze dobrych 5 wiorst do pierwszej wioski. Gdyby dotrzyć do niej.

Wilki coraz szybciej się przybliżały, zdawało mi się, że każdej chwili wskoczą na sanie, by mię rozszarpać w kawałki.

Już, już dopędzały, próbowały wskoczyć, lecz szalony i nierówny bieg sanek w tem im przeszkadzał. Krzyknąłem przeraźliwie, uczuwszy nagle oddech rozjuszonej zgrai...

Wtem odgłos niedalekiego strzału rozległ się po lesie...

Wilki przystanęły, klacz zaś ostatnich dobywając sił, uniosła w szalonym pędzie. Sanie podskoczyły, zawadziwszy o ciało łoszęcia, leżącego pośród drogi.

W kilka minut dopadłem do wsi i jak wichrem pędzony, wleciałem na podwórze miejscowego strzelca. Byłem ocalony.

Słysząc szczekanie i niezwykły ruch, wyszła jego żona.

— Gdzie Gabro?

— *Piszow na obchiad... A co se z wami, panyczu? Chodzite do chaty.*

Wysiąść nie mogłem, nogi zesztywniały i ledwie z pomocą jej synów dowlekłem się do izby.

— *Dajte szoś napyty, bo obomliju.*

Po chwili wniosła jakiś preparat, który choć czułem, że ogniem pali, piłem chciwie. Wiedy opowiedziałem swoją przygodę, błogosławiąc tego, który celnym strzałem wybawił mię od śmierci.

Podczas mego opowiadania wszedł strzelec.

— A co panyczu? chwalić Boga, żeście żywi, toż tych bestyi było osiem, a gdyby nie łoszę, nie wiem, coby z wami się stało. Wracałem z obchodu, słyszę krzyk i hukanie, przystanąłem. Widzę. przodem pędzi łoszę, poznałem, ze was pewnie wilki gonią, myślę, niema co, trzeba łoszę zabić, zabić, bo inaczej z wami będzie źle i jakoś udało się Gabrowi. Jak panicz przemknęli, to widziałem, jak te *siromachy* rzuciły się na łoszę. Więc ja manowcami do domu się dostałem.

Uściskałem serdecznie poczciwego szlachcica, któremu byłem winien życie.

— A wiecie Gabro, że to dziś Wigilia u nas zagranicą?

Podbiegł do żony i w krótkim czasie zasiedliśmy do honeste zastawionej wieczerzy.

Była to moja Polska Wigilia.

* * *

W dwa tygodnie niespełna wracałem z Mohylnej do domu. Mimo nagłej odwilży, wybrałem się saniami w parę silnych koni, stangret Antoni zaopatrzył się w siekierę. Wyjechaliśmy o 11 rano, ale z powodu topnienia śniegu nie można było pospieszyć — do domu mieliśmy 90 wiorst.

Był to właśnie dzień Wigilii na Rusi. Wcześnie zaczęło zmierzchać. Wlekliśmy się noga za nogą, gdy na przedzie kilka par ócz zaświeciło.

— Widzi pan — ozwał się Antoni — wilki czekają na nas.

— Nie gadaj głupstw, zaraz je rozproszę — i rzeczywiście po dwóch moich strzałach zeszły nam z drogi.

Konie pomknęły raźnie, ale po kwadransie lewy utknął.

— Wilki nas i konie zjedzą — mówi Antoni — będą miały dobrą Wigilię.



W[illegible] głodne, rozłakomione rzuciły się na naszą forteczkę.

Każę ćwiczyć z całej siły i ostatnim wysiłkiem wjeżdżamy nad ciągnące się po obu stronach drogi — *hało*. Tu jedyny nas ratunek. Każę furmanowi zawrócić wprost na nie.

— Te stożki siana, to nasze ocalenie. Pędź ku nim!

Zrozumiał. Mkniemy szybko, wycie i charkanie dolatują coraz bliżej. Gorączka mię porywa, a tu lewy koń ślizga się i pada.

— Tnij pasy i naszelnik, pojedziemy jednym.

W parę chwil pędzimy w pojedynkę ku stożkom. Wycie się zbliża.

Zarzucam burkę sobie, a furmanowi torbę przez plecy. Chwytam strzelbę i z siekierą w ręku staję gotowy do skoku.

Coraz wyraźniej zarysowały się stożki, gdy jedyny nasz koń zapada na tylne nogi i coraz bardziej grzęźć zaczyna. Bez namysłu wyskoczyliśmy obaj i skacząc po kępach, biegniem ko sił ku stożkom.

Wilki dobiegłszy do zawrotu, wskoczyły na błoto i dopadłszy pierwszego konia, w krótkim czasie z nim się uporały — dało nam to jednak możność dotrzeć do najbliższego stożka. Był on średniej wielkości, ale tak obmarznięty i okryty soplami lodu, że nie sposób nań się wdrapać.

— Rąb siekierą w siano, bo inaczej nie wyleziemy! — wołam do Antoniego.

Zarąbał z całej siły, siekiera schowała się prawie, podniosłem obuch na plecy i furman po tej drabinie wdrapał się do połowy. Chwyciwszy żerdzinę, dostał wierzchołka.

— Bierz strzelbę i podaj żerdzinę!

Niełatwo mi było dostać się na schronisko, śliskie jak szkło, jednak mimo piekącego bólu, po niemałych wysiłkach, z twarzą podrapaną i okrwawioną o sople, trzymając w jednym ręku żerdź, a drugą chwytając za siano, dobywam się do miejsca, gdzie zwisały żerdzie, okrywające stożek i z pomocą podanej ręki wydostałem się na wierzchołek.

Odetchnąłem, dziękując Bogu, że dał nam możność ratunku.

Tymczasem uczta wilcza coraz bardziej się przybliżała; uporawszy się z pierwszym koniem, dobiegły do drugiego. Należało teraz siekierę wydostać. W torbach znalazły się sznury, zapomocą których przyciągnęliśmy ją ku sobie. W kilka chwil później przecięte żerdzie leżały koło nas; wyrzuciwszy zmarzły wierzchołek, usadowiliśmy się wygodnie w miękkiem sianie.

Księżyc wznosił się coraz wyżej, widzieliśmy najwyraźniej, jak zgłodniała zgraja otaczała biedne konie, słyszeliśmy jej ujadanie, a niekiedy skomlenie, gdyż rozżarte, gryzły się wzajemnie. Furman zwrócił moją uwagę, że coraz więcej przybywało biesiadników.

— Przyjdą i do nas, zobaczy pan.

— Przyjmiemy, jak należy, a tymczasem, jako teraz święty wieczór, zjedzmy cokolwiek i pokrzepmy się gorzałką za zdrowie Bożej Dzieciny, która nam dała wyratować się od zguby.

Wypiliśmy parę haustów i zakąsiliśmy chlebem. Nie było jednak z nami tak bezpiecznie: wilki zaczęły odłączać się od gromady i biegły naszemi śladami.

— Mogą stożek roznieść w pyskach — rzekł Antoni.

Przypuściłem gromadkę na 30 kroków i strzeliłem; dwa wilki wyciągnęły się na śniegu, a potem znowu dwa uśmierciłem. Cofnęły się. Tymczasem z drugiej strony koła dolatywało straszne wycie: nowe stado dążyło ku stożkowi. Przypuściłem na strzał: pierwszy padł odrazu, drugi ranny zawył przeraźliwie, a wtedy wszystkie podniosły piekielny koncert, mogący rozstroić najsilniejsze nerwy.

Wilki głodne, rozłakomione, rzuciły się na naszą forteczkę i wspinając się na tylnych łapach, starały się na nią wdrapać. Rozwarte ich szczęki, iskrzące zęby i gorejące z wściekłości ślepia mogły najbardziej zahartowanego wytrącić z równowagi. Mój Poleszuk trząsł się jak w febrze i głośno się modlił. Mnie też nieswojsko było. Prawie *du bout portant* położyłem najbardziej zażarte; mało to pomogło gdyż rozjuszona zgraja w części rzucała się na trupy, w części rwała siano zębami, chcąc do nas się dostać.

Widząc, że ilość nabojów wielce się zmniejsza, każę furmanowi wziąć żerdź, sam chwytam drugą i tak uzbrojeni, okładamy wilki, ile sił starczy. Po każdem uderzeniu trafiony zaskomli i odskakuje, natomiast drugi zajmuje jego miejsce. Równem tempem okładamy bestye, a gdy się jedna żerdź połamie, bierzemy drugą, waląc po czerepach.

Srodze nas to zmęczyło, ale i napastnikom tak niegościnne przyjęcie widocznie obmierzło, gdyż zaczęły ustępować i skomląc, pokładły się wkoło stożka. Spojrzałem na zegarek: była piąta. Za parę godzin dnieć poczęło, zapewne się rozejdą. Chcąc, wcześniej się ich pozbyć, upatrzyłem miejsce, gdzie liczniejsza kupa wilków się położyła i posłałem w nią jeden strzał, a potem drugi. Skutek był znakomity: trzech wilków z okropnem wyciem potarzało się po śniegu, kilku innym poodbijałem krzyże i nogi.

Wyjąc i skomląc przeraźliwie, poczęły powoli uchodzić w głąb leśną.

Byliśmy ocaleni. Dopiero jednak po wschodzie słońca opuściliśmy naszą fortecę i dotarliśmy piechotą do najbliższej wsi.

Kronika tygodniowa

Rok Pański 1920 ma się już ku końcowi. Świadczy o tem nie tylko kalendarz, ale i niniejszy numer „Nowości illustrowanych“, pięćdziesiąty drugi w tym roku, zatem ostatni, a równocześnie świąteczny.

Dwie pieczenie trzeba więc upiec przy jednym ogniu, co jest nawet wskazane oszczędnością opału, złożyć P. T. Czytelnikom życzenia świąteczne i poświęcić bodaj kilka słów dobrym i złym stronom schodzącego z widowni roku 1920, nazywanego wprawdzie „Pańskim“, ale „dziadowskiego“ w najściślejszem tego słowa znaczeniu.

Na pierwszy plan wysuwają się naturalnie życzenia świąteczne, jako sprawa pilniejsza i trudniejsza do załatwienia. W czasie wojennym staje kronikarz przed ogółem P. T. Czytelników z życzeniami po raz siódmy i skonstatować musi z boleścią, że tamte poprzednie, z powodów od Redakcyi niezawisłych nie spełniły się nawet w części, choć były szczere, gdyż innym życzył tylko tego, czego i sobie, a nikt chyba nie przypuści, aby dla siebie nie pragnął jak najlepszej przyszłości. Jeżeli się nie myli, życzył rok temu, byśmy się już raz lepszych doczekali czasów, radził zatem cierpliwie czekać, dopóki one nie nadejdą, choć bynajmniej nie przypuszczał nawet, że to czekanie ma być obliczone na tak odległą metę, że nawet rok przestępny nie wystarczy. To zresztą wina tylko dyktatora żywnościowego z Ameryki, Hoovera, który z góry zapowiedział (nie porozumiawszy się przedtem z kronikarzem...), że rok 1920 będzie gorszy od poprzednika, a nie wiadomo, czy lepszy od tego, który po nim nastąpi. Tak się zatem stać musiało, ponieważ Stany Zjednoczone zastrzegły sobie w warunkach traktatu pokojowego wersalskiego, że ich oświadczenia, postanowienia i t. p. muszą być przez cały świat respektowane, a nawet Liga Narodów nie może się im sprzeciwić.

Słowa Hoovera spełniły się co do joty, rok 1920 był gorszy od swojego poprzednika, a dowodem tego choćby ta drobna na pozór okoliczność, że kronikarz staje wprawdzie z życzeniami, ale bez tradycyjnego opłatka w ręce. Mąki brak, a z pęcaku i fasoli nie powinno się ich przecie wypiekać i to chyba do słońca, gdyż inne piece prowadzą z powodu braku opału bezrobocie.

Hoover odezwał się zatem w złą godzinę, byliśmy przecież na to przygotowani, że trzeba się spodziewać najgorszych rzeczy, ilekroć bowiem wzięła się do czego Ameryka, wychodziło to z reguły na niekorzyść dla starego świata. Wszak nikt inny, tylko amerykańska małpa była przyczyną śmierci króla greckiego. Liga Narodów, dzieło Wilsona, narobiło jeszcze więcej chaosu, tak, że nawet Lloyd George nie może się wyznać na sytuacyi, maszynka do gadania z duchami narobiła rajwachu nawet w niebie.

Całe szczęście, że Hoover o r. 1921 nic jeszcze nie powiedział, ma zatem kronikarz sposobność bodaj w dniu wigilijnym pocieszyć Czytelników nadzieją, że rok 1921 będzie od poprzedniego lepszy, choćby tylko z tego powodu, że jest „zwykły“, zatem o cały jeden dzień krótszy, co w budżecie domowym każdego g[illegible] ważną powinno odegrać rolę. O ile zatem Hoover jeszcze się nie odezwie, miejmy nadzieję, że powoli wrócą stosunki normalne. Możemy zatem swobodniej spoglądać w przyszłość i cieszyć się nadzieją, że co zawiodło siedm razy, ósmy raz już nareszcie dopisze.

Z tego powodu życzenia „Wesołych Świąt“ muszą być podobne do zeszłorocznych, a streszczają się w słowach:

— Niechaj sobie nikt z tego nic nie robi, choć w wigilijny wieczór siedzi przy niezastawionym stole, bo mu to wyjść musi nie tylko na duchowy, ale i cielesny pożytek. Umartwiając pozatem ciało, zdobywa sobie zadatek wiecznej szczęśliwości, choć się od niepotrzebnych wydatków, z jakimi połączone jest objedzenie się na wieczór tak ciężkostrawnemi potrawami, jak ryby. Wiedział zatem magistrat, co czyni, ryb w tym roku nie sprowadzając, kazała mu zaś stara zasada, że „ryby, grzyby i wieprzowina, potrzebują wina“, ryba zaś nie mogąca pływać, choćby nawet w węgrzynie „krajowego wyrobu“, to traci [illegible]!...

To się jednak odmieni, i to może już nawet w roku najbliższym, trzeba tylko cierpliwie czekać, kto bowiem umrze wcześniej, sam sobie będzie musiał przypisać winę. Nie jest naturalnie wykluczonem, że rok 1921 jako krótszy od poprzedniego o cały jeden dzień, na poprawę stosunków nie wystarczy, dlatego też życzy kronikarz każdemu i każdej z osobna, i wszystkim razem, aby uzbroili się w cierpliwość, nie tracili nadziei, że będzie lepiej, jeżeli nie wcześniej to później, ale w każdym razie będzie... i powtarzali sobie, że mogło być jeszcze gorzej, gdyby tak była ziemia wpadła w ową dziurę na słońcu, jak to, akurat rok temu, zapowiadał amerykański astronom, Porta. Mielibyśmy tam wprawdzie ciepło, ale byłoby już po nas i nie moglibyśmy się cieszyć nadzieją, że doczekamy lepszych czasów.

W górę zatem serca!... Nie róbmy sobie nic z przeciwności, a gdy los spostrzeże, że sobie z niego kpimy, zmieni się, naturalnie na lepsze, bo trudno sobie nawet wyobrazić, aby mógł być gorszy.

I oto życzenia świąteczne kronikarza dla P. T. Czytelników. Za tydzień powtórzy je znowu, ale, będą one wtedy już noworocznemi, a coś mu wewnątrz mówi, że tym razem się nie myli.

Święta zatem zapowiadają się bardzo licho, nie wiadomo nawet, czy pogoda dopisze. Przysłowie mówi, że „jeżeli Barbara po wodzie, Boże Narodzenie po lodzie“, tegoroczne imieniny św. Barbary były tylko „po błocie“, a do niego trudno rym dobrać. Nie jest bynajmniej wykluczonem, że będziemy mieć we Święta mróz, od dnia bowiem św. Łucyi (13 grudnia) termometr spadł gwałtownie, a wiatr hula po mieście, jak gdyby nie miał nic lepszego do roboty. Że zaś, według opinii ojców naszych, dni od św. Łucyi, aż do wigilii stanowią prognozę dla miesięcy w roku następnym, musimy być przygotowani na nazbyt miły kwartał roku (przez cztery pierwsze miesiące mrozy i wiatry..., ale to się potem zmieni i w lipcu i sierpniu, o ile nic nie stanie na przeszkodzie, możemy być pewni, że się niejeden z nas spoci..) Czy te obecnie panujące wiatry mają jaki związek z aprowizacyą, nie wiadomo. Gdyby miały, byłoby to znakiem, że przez pierwsze cztery miesiące będzie nas magistrat karmił w dalszym ciągu zamiast mąki pęcakiem i fasolą. Da mu się także odczuć zimno z powodu braku węgli.

Tyle już przecierpieliśmy, zniesiemy i to, na razie zastanawiamy się nad tem, skąd się bierze tyle wiatrów i jak zaradzić, aby nie było zimno.

Ta druga kwestya może być w dwojaki sposób załatwioną. Należy się ubrać ciepło i porządnie w piecu zapalić, albo policzyć dwunastu łysych, a mróz dyabli wezmą. Ubrać się ciepło może każdy, kto ma szaty przedwojenne, co się zaś tyczy zapalenia w piecu, to jest to już połączone z trudnościami. Najtańszy sposób, ten drugi, to jest wyliczenie dwunastu łysków, zwłaszcza że liczba ich mnoży się z dniem każdym. Jedni tracą włosy w sposób normalny, inni wydzierają je sobie „z radości“, że im się tak dobrze wiedzie w życiu. Można ich liczyć na kopy, nie na tuziny.

Skąd się zaś wzięły te zimne wiatry, na to łatwa odpowiedź. Bolszewicy otwarli granicę i przed przyszłą ofenzywą starają się nas wymrozić, zachodnich zaś, ciepłych wiatrów nie przepuszczają do nas bracia Czesi.

Czy zatem dopisze w Boże Narodzenie pogoda, przekona się każdy sam, a ciekawość ta może być zaspokojoną w bardzo niedługim czasie. Ważniejsze, czy spełnią się życzenia świąteczne kronikarza, jako odnoszące się do całego przyszłego roku. Ale cóż to jest jeden rok w porównaniu z wiecznością, lub kiszonymi ogórkami?... W życiu niejednej starej panny nawet dziesięć i więcej lat różnicy nie robi. Kto posłucha kronikarza i poczeka cierpliwie, ten od dziś za rok przeczyta sobie następną kronikę świąteczną i dowie się, czy w r. 1921 spełniły się przepowiednie i życzenia kronikarza, czy też klątwa Hoovera ciąży jeszcze nad nami. Aby sobie skrócić oczekiwanie, niechaj sobie n[illegible] „premiówkę“, a ani się postrzeże, jak tymczasem pięćdziesiąt dwa razy wyciągną inny numer nie jego.

Posiadaczom tych cennych papierów życzy kronikarz, aby żyli tak długo, dopóki nie wygrają, co zresztą przewidziane jest i w nowej ustawie, przyjętej przez Sejm warszawski.

Jak na tak ciężki rok, życzeń chyba dosyć, reszta musi zostać na następny tydzień, do numeru noworocznego. Jest to składanie życzeń po aptekarsku, „co godzinę łyżkę stołową zażyć“. Z góry zaś mogą być na to P. T. Czytelnicy przygotowani, że będą one brzmieć tak, jak obecne:

— Tylko cierpliwości, a złe raz się skończy!... Dziękować Bogu, że nie jest jeszcze gorzej!... Cieszyć się, bodaj o chłodzie i głodzie, gdyż na „gorzkie żale“ będzie dość czasu w Wielkim Poście.

Czas ten zleci, jak z bicza strzelił. Ani się obejrzymy, jak z pod znaku opłatka (którego niema!..), wejdziemy pod znak jajka wielkanocnego (dzisiaj zwykłe kosztuje piętnaście marek!..) i znów będziemy sobie musieli składać życzenia, ale już w innym tonie... o ile naturalnie tymczasem poprawi się sytuacya.

Na drugą część, to jest na żałosne wspomnienia o roku 1920 mało miejsca się znalazło. Ale może to i lepiej!... Odpowiedniejszy to temat do numeru noworocznego. Mamy przed sobą jeszcze cały tydzień, a w tym czasie może zajść bardzo wiele i bardzo ważnych wypadków, nie mówiąc o ewentualnym końcu świata, który jak się już przed kilku tygodniami wykazało, nie jest na razie przewidziany.

Będzie to rodzaj pośmiertnego wspomnienia, a stare przysłowie mówi, że *de mortuis nihil nisi bene...* A jak tu zastosować się do tego, gdy dobrych stron zupełny brak, a hipoteka jego zababrana w najpaskudniejszy sposób?...

Przedewszystkiem stwierdzić należy, że kalendarz zupełnie niesłusznie nazywa rok 1920 „rokiem Pańskim“. Pomijając już okoliczność, że Polska ma być krajem „chłopskim“, w którym o jakichś „Pańskich latach“ nawet wspominać nie wolno, stwierdzić się musi, że był w całem tego słowa znaczeniu „dziadowskim“, brakowało bowiem z zasady wszystkiego, bez czego dawniej nie wyobrażaliśmy sobie życia, a niejednokrotnie nawet i wody. Korzyść z tego taka, że nauczyliśmy się przestawać na małem, a jeżeli tak dalej pójdzie (a jakoś na zmianę na lepsze się nie zanosi...), powoli przyzwyczaimy się do poszczenia przez cały rok. Burmistrz miasta Cork w Irlandyi, który prawie kwartał prowadził głodówkę, będzie miał licznych naśladowców, a zawodowi głodomory, jak Succi, Tanner i t. p. stracą swój popłatny „kawałek chleba“.

Poza tem był ten rok zupełnie niepotrzebnie przestępnym, zatem dłuższym o jeden cały dzień. Ponieważ zaś wiadomo każdemu, czy on jest żonaty, czy kawaler, ile każdy dzień przynosi ze sobą różnorodnych kłopotów, dochodzi się to przekonania, że lata przestępne powinny być z urzędu zniesione i tem powinien się w pierwszej linii zająć Sejm warszawski.

Na roku przestępnym wychodzą dobrze tylko ci, którzy mieli to szczęście ujrzeć światło dzienne 29. lutego, obchodzą bowiem urodziny tylko raz na pięć lat, co jest połączone z pewną oszczędnością, a panna, która w tym dniu przyszła na świat, nie zestarzeje się tak prędko, i choć jej metryka będzie wykazywać ukończonych już ośmdziesiąt „wiosen“, może bardzo łatwo uchodzić za podlotka i grać rolę naiwnej.

Warszawskie władze centralne, które zamiast opału dały nam „czas letni“, powinny się zająć i tą sprawą. Należy skrócić wszystkie miesiące do długości lutego, a można będzie porobić daleko idące oszczędności na opale, oświetleniu, dyetach urzędniczych i t. d.

Gdyby to bodaj konjunktury były pomyślne, ostatecznie nie narzekalibyśmy może na długość roku, ale, jak na złość, ten, który „szczęśliwie“ kończymy, był siódmym z rzędu w szeregu „lat chudych“ czyli wojennych. Jeśli zatem jest prawdą, co przepowiedział swojego czasu bł. p. Józef Faraonowi, czy jakiemuś innemu egipskiemu dygnitarzowi, że po siedmiu latach chudych ma nastąpić siedm lat tłustych, na tę „zmianę dekoracyi“ możemy być przygotowani w zbliżającym się właśnie roku 1921, w którym na koniec lipca przypada zarazem i koniec „chudego“ siódmego roku. Następne zatem, o ile będą naprawdę „tłuste“, mogą być nawet wszystkie po kolei przestępne.

Być może, że przepowiednia Józefa spełni się. Czasy, jakie obecnie przeżywamy, są zupełnie podobne do tych, w których on działał, jak bowiem wiadomo z Biblii, był on dyrektorem Centrali zbożowej, czy też „P[illegible]“ dla Egiptu i bardzo piękne na tem stanowisku robił interesy.

Z nim w następnej kronice zajmiemy się w dalszym ciągu sprawami roku 1920, który tymczasem zupełnie już zamknie swe oczy i rachunki, dziś, patrząc na skutki wojny warto się zapytać, czy opłaciło się ją prowadzić. Odpowiedź na to bardzo prosta, a da ją każdy przeciętny śmiertelnik, z wyjątkiem nielicznej zresztą garstki paskarzy i lichwiarzy wojennych, aby ten, kto wynalazł wojny wogóle, a tę w szczególności, nie wyjrzał z piekła. Ale to piekło musi być zupełnie inne, niż to, o którem nas religia uczy. Musi tam być mróz w zimie, a upał w lecie, jeżeli kara ma być naprawdę karą. Każdy lokator piekła, który za życia broił na tym świecie i wyrokiem Opatrzności skazany został na wieczne potępienie i smażenie się żywcem w ogniu piekielnym, dziś cieszy się z tego i śmieje się z nas w kułak, że tutaj marzniemy, gdy on się tam tymczasem poci bardzo przyjemnie.

Reforma piekła jest zatem ważniejsza nawet, niż reforma agrarna, należałoby sobie zatem życzyć, aby i ona dostała się na porządek dzienny obrad naszego Sejmu, a może nie da powodu do takich nieporozumień, jak sprawa konstytucyi ewentualnie senatu.

Choć, kto wie, gdyż niektórzy posłowie mają być w tej sprawie osobiście interesowani...

O ile zatem nic nadzwyczajnego, jak np. koniec świata lub coś w tym rodzaju nie stanie na przeszkodzie, zamknięcie rachunków za rok przestępny 1920 odkładamy do następnego numeru, mającego powitać Rok Nowy.

OPŁATEK.

(Z TEKI WYGNAŃCA).

Drży w mojej dłoni przysłany zdaleka,
Z pod cieplejszego przysłany — gdzieś nieba,
Pożółkły w drodze, nadłamany zlekka,
(Spieszył się bardzo. — nas tylu go czeka),
Biały ułomek pszenicznego chleba.

I mówi do mnie zgłoski tajemnemi,
Okrucha chleba, zwiędłej lilji płatek
O wszystkiem — co się — tam na Ziemi
Polskiej... że płacze łzami gorącemi
I dzieciom — biały przysyła opłatek...

. . . .

O myślcie o mnie i was Macierzy bolesnej,
Was — co daleko — tam — co w grobie
Pozdrawiam chlebem... — Dał Bóg wiosny wczesnej
Doczekać — cud się Miłości bezkresnej
Spełni... O Polsko — Myślimy o tobie!...

Bożymir.

VI. Kurs uzupełniający dla uczniów-żołnierzy szkół średnich przy D. O. G. Lwów.

Chcąc choć w części wynagrodzić straty w nauce tym uczniom, którzy w chwili zdradzieckiego opanowania Lwowa przez Ukraińców porzucili dom, rodzinę i naukę i wprost z ław szkolnych poszli w bój, zainicyował ówczesny brygadyer Mączyński Kursy uzupełniające, na które przyjmowano tylko obrońców Lwowa. Z odparciem najazdu ukraińskiego i odsunięciem frontu, zezwoliło M. S. Wojsk na rozszerzenie tych kursów także dla żołnierzy poza lwowskich, dając równocześnie fundusze na pokrycie kosztów nauki i prowadzenie kursów. Kursy te dają, przy intenzywnej pracy tak ze strony grona nauczycielskiego jak uczniów możność w krótkim stosunkowo czasie (4 miesiące) przerobienia materyału jednej klasy tym, którzy pełniąc służbę w wojsku polskiem, mają przerwy w nauce wskutek wojny i posiadają świadectwa szkolne do odpowiednich klas. W razie pomyślnego ukończenia Kursu otrzymują uczniowie żołnierze świadectwo uprawniające tychże do przejścia do klasy wyższej któregokolwiek zakładu publicznego. Uczniowie klas najwyższych, tak gimnazyum jak realnej, dopuszczani są z końcem kursu do egzaminów dojrzałości i otrzymują świadectwa ważne do studyów uniwersyteckich. Nauki udziela na kursach grono profesorów z zakładów lwowskich szkół średnich pod kierunkiem profesora Włodzimierza Borstyńskiego, nadzorem zaś i gospodarką finansową kieruje prof. Artur Rzepecki.

Nadesłane.

Już wyszedł pierwszy zeszyt Biblioteki Nowości p. t.

„Józia — legionistka“.

W ostatnich czasach daje się u nas odczuwać silnie brak dobrych, popularnych książek które w formie belletrystycznych opowiadań przedstawiałyby barwnie i zajmująco wypadki współczesnego życia, tak bystrą obecnie toczących się falą. Żołnierz polski stał się ukochaniem społeczeństwa, ku niemu zwracają się wszystkie patryotycznie czujące serca. Każdy chciałby dowiedzieć się czegoś o tych żołnierzykach naszych, todaj myślą złączyć się z nimi, przeczytać w jesienny czy zimowy wieczór coś o ich przygodach na froncie bojowym, na kwaterze, na urlopie, nanizać jasnej perły bohaterstwa na jedną nitkę z koralami czerwonemi jak róże miru z błyszczącymi paciorkami żartu i humoru.— Wydawnictwo „Biblioteka Nowości“ ma wypełnić tę lukę, a chcąc dawać społeczeństwu rzeczy prawdziwie wartościowe, zaprosiło do współpracownictwa wybitne pióra autorskie. Jako pierwszy zeszyt ukaże się pełne wdzięku opowiadanie p. t.: „Józia — legionistka“.

Cena egzempl. 15 mrk., z przes. poczt. 17 mrk. Zamówienia przyjmuje Administr. „Nowości Illustrowanych“, Kraków XV, Kazimierza Wielkiego 95



VI. Kurs uzupełniający dla uczniów-żołnierzy szkół średnich przy D. O. G. Lwów: Grupa uczniów-żołnierzy wraz z kierownikami Kursu
W pośrodku siedzą: dowódca, por. Rzepecki i zast. dow. ppor. Ćwiertnia.

Od Wydawnictwa!

ROK 1920., będący XVII. rokiem naszego wydawnictwa, zamykamy z tem wewnętrznem przekonaniem, że należycie wywiązaliśmy się, w miarę możności i panujących obecnie stosunków, z ciążącego na nas zadania. A tem było, jest i będzie i w dalszym ciągu informowanie P. T. Czytelników o najaktualniejszych zdarzeniach, z szczególniejszem uwzględnieniem naszego życia narodowego, dawania lektury zdrowej i pożytecznej.

Że nam się to powiodło, świadczą o tem liczne pisma z uznaniem, jakie stale otrzymujemy. Nie brak wprawdzie i narzekań na różne braki, które i my sami uznajemy i staramy się je o ile możności usunąć, ci jednak, którzy z podobnymi zarzutami występują, widocznie nie zdają sobie z tego sprawy, że pracować nam przychodzi w warunkach zupełnie innych, niż były przedwojenne.

Rok 1920. zawiódł najzupełniej wszelkie nadzieje i oczekiwania. Stosunki nie tylko nie poprawiły się, owszem w ostatnich zwłaszcza czasach tak się pogorszyły, że kraj zdaje się stać nad brzegiem przepaści, od runięcia w którą chyba cud może go uratować. Ta sytuacya odbić się musiała zatem na całem życiu społecznem, więc i prasie w ogólności, w szczególności zaś na tak kosztownem wydawnictwie, jakiem są *Nowości illustrowane*.

Drożyzna najniezbędniejszych artykułów, z których niektóre podskoczyły w cenie nawet i *pięćsetkrotnie*, podwyższenie płac personalu Redakcyi, Administracyi i Zakładów technicznych, zwiększenie opłat kolejowych i pocztowych i t. d. zmusiły nas do podniesienia ceny prenumeraty, czyniliśmy to przecież bardzo oględnie, o tyle tylko, aby pokryć najkonieczniejsze wydatki i nie dopuścić do deficytu.

Przytem odpadła nam bardzo ważna i pokaźna rubryka dochodów: dział inseratowy. Nasi Kupcy i Przemysłowcy wychodzą z założenia, jedni, że nie mają co reklamować, gdyż towaru im brakuje, drudzy, którzy mają go dość na składzie, że się bez tego obejdzie, gdyż Publiczność prosi się, aby jej coś sprzedać.

Praca wydawnicza w tych warunkach, to zadanie bardzo ciężkie, nie opuszczamy przecież rąk i z otuchą w lepszą przyszłość stajemy do dalszej pracy, pewni, że ogół polskiego społeczeństwa nie odmówi nam swego poparcia, jako **jedynej w Polsce aktualnej illustracyi**, o piętnie wybitnie narodowem. Pracujemy dla dobra społeczeństwa polskiego, nie dla robienia interesu, nie służymy żadnym partyom, mamy też prawo poparcia tego się spodziewać. Rozszerzanie *Nowości illustrowanych* w kołach swych Znajomych, to obowiązek każdego Polaka, któremu dobro polskiej prasy leży na sercu.

My ze swej strony dołożymy wszelkich starań, aby pomimo nadzwyczaj trudnych warunków, *Nowości Illustrowane* mogły stanowić dla Czytelników i nadal pożyteczną i przyjemną rozrywkę. Siódmy rok wojny się kończy. Po siedmiu „chudych" latach nadejdą może „tłuściejsze", stosunki się poprawią, a wydawnictwo będzie mieć ułatwione zadanie. Nadzieja lepszej przyszłości dodaje nam otuchy i siły, wyrozumiałość Czytelników dokona reszty. Da Bóg, w niedługim już może czasie wrócą *Nowości Illustrowane* do pierwotnych rozmiarów, poprawi się też i strona techniczna pisma, cierpiąca dziś wiele z powodu fatalnej jakości nabywanych za wprost bajońskie ceny materyałów. W tece redakcyjnej posiadamy kilka bardzo ciekawych powieści, które niewątpliwie zainteresują ogół Czytelników tak żywo, jak obecnie drukowane. Dołożymy też starań, aby dobór materyału aktualnego odpowiadał zawsze jak najdalej posuniętym wymaganiom.

Z otuchą zatem i wiarą w lepszą przyszłość kończymy XVII. rok naszego istnienia.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył J. Kamiński, Lwów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda rozwiązanie:

```
      ■
    - ■ -
  - - ■ - -
  - - ■ - -
    - ■ -
  - - ■ - -
  - - ■ - -
    - ■ -
  - - ■ - -
  - - ■ - -
    - ■ -
  - - ■ - -
  - - ■ - -
```

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Krzew ogrodowy, 3. Polski pamiętnikarz, 4. Miejscowość w Galicyi wschodniej, 5. Miejscowość na Pomorzu, 6. Wehikuł, 7. Zdrobniałe imię męskie, 8. Znany fizyk, 9. Miejscowość w Galicyi środkowej, 10. Przyrząd sportowy, 11. Rzeka w Afryce, 12. Inaczej tańce, 13. Jedno z nowych państw w Europie.

Okienko.

Ułożył R. G., Kraków.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

a	a	a	a	e
a		g		i
i	i	i	k	ł
l		n		n
t	t	w	y	y

Znaczenie wyrazów: 1. Obchód rodzinny, przypadający na czas obecny, 2. Inaczej poseł, 3. Zabytek przeszłości.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył X. Y., Kraków.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek powstanie refren znanej kolendy:

A--o-o-ia-e--ię--a-o
I-ie---a-o-ię--y-a-i.

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1 W. Przyborowskiego „Czerwona mara" (powieść, 2) Paczkę papieru listowego 25 arkuszy i tyleż kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 50

Logogryf: W, Sas, osa, Nil, Kolin, Kreta, rower, korsarz, warkocz, maligna.

Okienko: Farys, rubel, So'ec.

Zgłoskówka: Rocznica listopadowa.

Zadanie do przestawienia: Emancypantki.

Zadanie na rozsypane litery: Komu w drogę temu czas

Rebus: Krytyka bezstronna wytyka wady, ale i zalet nie ukrywa.

Grzebieniówka: Soła, i, emir, n, Kola, i, Erazm, w, Iran, o, zeta.

Przysłowiówka: 1) Gdzie dyabeł nie może, babę posyła, 2) Baba z wozu koniom lżej.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: H. Nowak Kraków, M. Ogibińska Nowy Sącz, K. Dębiński Jasło, H. amocka Stanisławów, W. witowska Warszawa, J. Nowak Sandomierz, J. Martynowicz Lwów, H. Galińska Tarnów, M. Bodziński Kraków, M. Wacyk Lwów, M. Weryński Warszawa, E. Darowska Warszawa, J. Orzechowski Stryj, J. Wierzbicki Piotrków, K. Grzybowski Kraków. S. Zajączkowski Rzeszów. S. Lesicki Warszawa, M. Jasińska Lwów, M. Gross Tarnów, M. Waszkiewicz Lwów, K. Radziszewski Warszawa, H. Waligórski Tarnów, M. Kwiatkowska Warszawa, H. Maciejowski Winnica, H. Malinowska Rzeczyce, W. Dutkiewicz Przemyśl, S. Grabowski Wadowice, A. Lipski Wiedeń, W. Lange Toruń, K. Nowak Sambor, Z. Walkowski Rawa, M. Wysocka Jasło, S. Cichocki Jasło, S. Sokołowski Lwów, J. Jaworski Lwów, M. Ostrowska Lwów, K. Zieliński Zalesie, K. Grabski Jasło, J. Walicki Poznań, R. Cielicka Łódź, J Martynowicz Kielce, J. Weber Kraków, S. Zakrzewski Sandomierz, W. Raczyński Kraków, S. Nowacki Lwów, F. Kajfasz Kraków, J. Jagodziński Nowy Sącz, M. Kozłowski Sambor, J. Kalinowski Poznań, W. Śmiszkiewicz Milówka, K. Borkowski Kraków, M. Mańkowska Warszawa, J. Ogrodnik Lwów. S Sygowska Rzeszów, J. Jabłoński Lublin.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) M. Ogibińska, Nowy Sącz (książka), 2) K. Borkowski, Kraków (papier listowy). Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Karczmarskiego.